



## FELICJAN LOTH

Warszawa, 3 sierpnia 1946 r. Sędzia apelacyjny śledczy do spraw wyjątkowego znaczenia Józef Skorzyński, działając jako członek Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce, przesłuchał w charakterze świadka niżej wymienionego, który zeznał, co następuje:

---

**Nazywam się Felicjan Loth, syn Edwarda i Jadwigi, lat 32, rzymski katolik, lekarz, mieszkam w Zalesiu pod Piasecznem przy ul. Granicznej, obcy, niekarany**

---

Zostałem aresztowany przez Niemców w nocy z 19 na 20 lutego 1941 roku i odtransportowany bezpośrednio do więzienia na Pawiaku, gdzie przesiedziałem do powstania warszawskiego, a więc prawie trzy i pół roku.

Zachowanie się Niemców na terenie samego więzienia przechodziło w ciągu tego czasu najróżniejsze fazy. Przy czym do października 1941, sam będąc w okresie śledztwa, mniej miałem możliwości obserwowania bezpośredniego ich postępowania. Dopiero po jego zakończeniu, od momentu otrzymania funkcji lekarza chirurga w szpitalu więziennym, znalazłem się na stanowisku, którego przywilejem, a jednocześnie jednym z największych ciężarów było to, że wiedzieliśmy o wszystkim, co się w więzieniu dzieje, a często nawet o tym, co jutro czy za dni parę miał się zdarzyć. Dzięki temu miałem możliwość, jak niewielu spośród więźniów nawet dłużej przebywających na Pawiaku, przyjrzeć się wszystkim łajdactwom, okropnościom i sadystycznym wyczynom obsługi więzienia, składającej się z Niemców, przeróżnych volksdeutschów i tak zwanych Ukraińców.

Zachowanie się Niemców nie było przez cały czas jednolite. Początkowo, dopóki zasadnicze funkcje straży więziennej pełniła przedwojenna służba polska, a Niemcy, stosunkowo nieliczni w tym okresie, mieli za zadanie tylko kontrolowanie i pilnowanie z kolei tych, co nas pilnowali, postępowanie ich było jeszcze względne. Ograniczali się do „drobnych”

rękoczynów, jak bicie po twarzy, rozdanie tu i ówdzie paru kopniaków lub uderzeń pejczem, kijem czy jakimkolwiek przedmiotem znajdującym się pod ręką.

Bili z najbliższego powodu, ale w tym okresie wyszukiwali jeszcze jakieś preteksty i miało to raczej charakter „wymierzania kary” za określone przewinienie. Ten, co się spóźnił z wyprężeniem jak struna przed majestatem pana wachmistrza, otrzymywał uderzenie w twarz, głowę lub serię szturchańców czy kopnięć, w zależności od sytuacji i humoru. Naturalnie wszystko to w akompaniamencie nieludzkich wrzasków i wymysłów, których najczęściej delikwent wcale nie był w stanie zrozumieć, co z kolei stawało się często wystarczającym powodem do nowej serii razów. Jeśli nie było się do czego przyczepić, Wachmeister zawsze mógł znaleźć wystarczający powód. Ulubionym ich sposobem było kontrolowanie czystości i porządku w celi. Następowало sprawdzanie, czy dostatecznie wytarto kurze, wymyto miski po jedzeniu lub wyczyszczono paznokcie czy buty. W celi o szerokości trzech, a długości ośmiu kroków, gdzie przed wojną w okresie wielkiego tłoku w więzieniu przebywało najwyżej trzech więźniów, trzymano czasami po jedenaście osób, a z reguły siedem do ośmiu. Na każdą celę była tylko jedna mała miednica i jeden dzbanek, który można było napełnić wodą w najlepszym razie dwa razy dziennie. Jeśli dodać do tego brak wszelkich przyborów toaletowych, które zjawiały się dopiero z chwilą, gdy rodzina dowiedziała się, że aresztowany „siedzi” i miała możliwość przysłać, oraz to, że w momencie przyjmowania do więzienia aresztowanym odbierano dosłownie wszystko, co mieli w kieszeniach, pozostawiając w najlepszym razie chustkę do nosa, to można sobie dopiero wyobrazić jak mogła wyglądać wymagana tak rygorystycznie czystość! Okazji więc było zawsze dosyć.

Pamiętam, jak w czasie jednego z pierwszych dni pobytu mego na Pawiaku w momencie podobnego przeglądu Wachmeister znalazł jakąś nie dość starannie wytartą (tą nieszczęsną chustką do nosa) miskę po zupie. Oburzony na takie „niechlujstwo” (so eine Schweinerei!) Wachmeister rzucił się w stronę właściciela miski jak rozjuszony byk, depcząc i tratując w ciasnocie przepelnionej celi innych więźniów i, przyłożywszy nieszczęsnemu tę miskę jak kapelusz do głowy, rąbnął w nią całą siłą swej potężnej pięści. Aluminiowa miska pękła i tak mocno osiadła na głowie, że po skończonym apelu tylko z dużym trudem udało się nam zdjąć ją z głowy biedaka. O doproszenie się opatrunku na zalaną krwią głowę nie było co marzyć.



Drugim ulubionym sposobem znęcania się nad więźniami była gimnastyka. W tym okresie wyprowadzano jeszcze więźniów na spacer „dla zdrowia” i również „dla zdrowia” urządzano im ćwiczenia gimnastyczne. Naturalnie stwarzało to nieskończoną liczbę sposobności „ukarania” więźnia. „Karanie” rozpoczynało się więc od wymyślnych i bardzo uciążliwych ćwiczeń z osławioną żabką na czele (skakanie cały czas w głębokim przysiadzie).

A więc, zgodnie ze zdrową logiką narodu nadludzi, jeśli ktoś nie był w stanie z powodu wieku lub jakiejś choroby czy po prostu z osłabienia wykonać dość sprawnie na przykład skrętów tułowiem, to za karę kazano mu biegać bez końca wokół podwórza. A ponieważ słabeusz już po paru okrążeniach nie mógł biec, kazano mu za karę skakać żabki.

Gdy po dwóch lub trzech nieudolnych próbach podskoku wywracał się, należało „ukarać” go za nieposłuszeństwo kijem. W tym okresie gimnastyka była prawdziwą zmorą wszystkich, szczególnie słabszych fizycznie więźniów.

Takich i tym podobnych „przykrości” można by przytoczyć mnóstwo. Stanowiło to metodę mającą na celu całkowite sterroryzowanie, zgnębienie i otumanienie nowo aresztowanego, co miało być przygotowaniem do śledztwa. Dowodem, że postępowanie to nie było wywołane jakimiś sadystycznymi skłonnościami Wachmeistra, lecz stanowiło metodę śledczą – jest fakt, że w ten sposób postępowali wszyscy wachmeistrzy.

Nawet ci, co na oddziałach starszych więźniów zachowywali się całkiem względnie, z chwilą, gdy zaczynali pełnić służbę na oddziale kwarantannowym, na osławionej „siódemce”, rozpoczynali zawsze te same „wyczyny”. Ze strony kierownictwa więzienia dawało się zauważyć wyraźne staranie w doborze wachmeistrów na ten oddział, który przyjmował nowoprzybyłych więźniów. Wybierano zawsze najdzikszych, najbrutalniejszych, o zdecydowanych skłonnościach sadystycznych.

Drugim dowodem, że wszystkie te „drobne” gwałty i znęcania się stanowiły pewne z góry zaplanowane postępowanie, była obserwacja całego sposobu prowadzenia śledztwa przez gestapo. Zasadniczym sposobem wydobycia zeznań z oskarżonego było sterroryzowanie go.

Tylko w bardzo wyjątkowych wypadkach, które uznano za specjalnie ważne, oddawano sprawę w ręce naprawdę inteligentnych i wyszkolonych w swoim fachu referentów. Działo się to głównie w sprawach szpiegowskich. Ci posługiwali się z reguły metodami zasypania więźnia szeregiem podstępnych pytań, przedstawianiem fałszywych zeznań współoskarżonych, detonowania wiadomościami, które wskazywały, że był śledzony itp.

Były to, jednym słowem, zmagania wytrzymałości psychicznej i inteligencji między badanym a badającymi. Ale, jak podkreśliłem, były to bardzo nieliczne wypadki.

W dziewięćdziesięciu kilku procentach zasadniczym i prawie jedynym sposobem zmuszenia do zeznań była pałka. Śledztwo rozpoczynało się od dzikich wrzasków, wymysłów i pogróżek, wytrząsania przed nosem ogłupiałego więźnia rewolwerami i pałkami, poczym, jeśli to nie odnosiło skutku, przechodzono do rękoczynów. Te ostatnie rozpoczynały się zwykle od uderzenia w twarz, paru kuksańców czy kopnięć, następnie szły po nich pałki. Zgodnie z tym założeniem, im bardziej przerażony i zgnębiony przyjeżdżał więzień z Pawiaka na Szucha, tym lepiej. Tym większe były szanse, że śledztwo odniesie skutek i więzień zacznie sypać. Do tego właśnie celu służyły wyczyny wachmeistrów w więzieniu. Dlatego bardzo dobrze przez przełożonych byli widziani i wysoko cenieni ci spośród nich, którzy do z góry wyuczonych metod terroryzowania i gnębienia więźniów potrafili dołożyć różne swoje własne nowe pomysły.

W momencie, gdy zlikwidowano na Pawiaku straż polską, mieliśmy właśnie możliwość obserwowania, jak się odbywa szkolenie nowego narybku wachmeistrów w tej metodzie prowadzenia więzienia śledczego. Był to jednocześnie jeden z najstraszniejszych okresów Pawiaka.

Na miejsce strażników Polaków częściowo przeniesionych do innych więzień, a w większości aresztowanych i wywiezionych do Oświęcimia lub od razu rozstrzelanych, przybyli tak zwani Ukraińcy. Byli to w większości młodzi chłopcy, zupełnie dzicy i prymitywni. Wybrani zostali z obozu jeńców według specjalnej metody. Trzymano ich początkowo w warunkach, które najlepiej charakteryzuje fakt, że z 6 tys. jeńców w przeciągu trzech miesięcy zostało przy życiu 500. Wówczas zjawili się w obozie elegancko ubrani oficerowie mówiący biegle po rosyjsku i ogłosili, że kto się nie czuje Rosjaninem, lecz Ukraińcem i nie jest komunistą, ten może się ochotniczo zgłosić do niemieckiej policji. Tu następowało wyliczenie wszystkich niezliczonych przywilejów i dobrodziejstw, jakie na kandydatów oczekują. Znaczna większość jeńców okazała się w tych warunkach Ukraińcami. Po bardzo króciutkim przeszkoleniu, ubrani w nowe mundury, solidne buty i z pistoletami u pasów pojawili się ci nowi wachmani na Pawiaku. Zapowiedziano im przy tym, że w tym więzieniu siedzą sami bandyci i zbrodniarze, dla których nie trzeba mieć litości, natomiast należy się bardzo pilnować i mieć na baczności, bo można być przez nich napadniętym i zamordowanym.

Po takim wstępie nastąpiły „ćwiczenia praktyczne” na miejscu. Niemcy zaczęli od pokazywania najpierw programowych lekcji posłuszeństwa, czystości i szybkości więźniów, po czym przeszli do wyczynów indywidualnych.

Nie sposób opisywać tu tych wszystkich dzikich i sadystycznych pomysłów, zacytuję więc tylko kilka dla charakterystyki tych lekcji.

I tak Oberscharführer Bürkl, jeden z największych sadystów Pawiaka, kazał Ukraińcom wypędzić na podwórko więzienne grupę około 40 Żydów i urządził im „gimnastykę”. Gdy ludzie byli już dostatecznie zmęczeni, dla odpoczynku rozkazał rozebrać się wszystkim do pasa, poczym powolutku „bo przecież jesteście zmęczeni” wpełzać na brzuchu na kupę popiołu i żużlu świeżo wywiezionego spod wielkich kotłów i jeszcze czerwonego. Na wzdrygających się posypały się razy i kopniaki, a gdy i tego było mało, przyprawdzono psy, ogromne dzikie wilczury. Po tej lekcji nie było w całej grupie ani jednego więźnia, który nie byłby poparzony, pogryziony lub do krwi pobity.

Drugi z oberscharführerów, Zander, zademonstrował wkrótce potem inny kawał własnej inwencji. W trakcie kąpieli grupy więźniów stanął przy kurkach regulujących dopływ zimnej i gorącej wody, poczym zaczął je kolejno zakręcać. Ustawieni wokoło z pałkami i drągami Ukraińcy dbać mieli o to, aby więźniowie nie uciekali spod lejącego się ukropu.

Ukraińcy okazali się pojętnymi uczniami, a chcąc odpowiednio zasłużyć się swym dobroczyńcom, prześcigali się w gorliwości.

Skutki nie dały na siebie długo czekać. Obok niezliczonej liczby drobniejszych rannych i okaleczonych, z których tylko część trafiała na opatrunki do ambulatorium szpitala, pojawiły się i poważniejsze wypadki. Jeden z więźniów za zbyt powolne poruszanie się po korytarzu w czasie wypuszczenia więźniów do ubikacji, został tak silnie kopnięty w bok, że pękła mu śluznica i musiał być natychmiast operowany. Drugi za to, że ośmielił się wyrzucić przez okno z celi, otrzymał śmiertelny postrzał w głowę. Trzeci uległ złamaniu ręki, czwarty w czasie wsiadania czy wysiadania z „budy”, złamaniu uda. Jeszcze inny, który, jak twierdził Ukrainiec, miał zamiar rzucić się na niego w celi, został postrzelony w udo itp.

Całymi dniami, a często i nocami, rozlegały się dzikie wrzaski oprawców i jęki ich ofiar. Ludzie w celach przeżywali straszliwe męki, stale w oczekiwaniu swojej kolejki.

Każdorazowy zgrzyt klucza w zamku dosłownie mroził krew w żyłach, a krzyki i jęki wokoło rozstrajały i tak już stargane nerwy.

Szczęściem po paru miesiącach stopniowo, „kurs nieco zelżał”. Niemcy uznali, że ich wychowankowie już dostatecznie „opanowali materiał”, z drugiej strony zmęczeni się i znużyli się tak ciężką pracą wychowawczą.

Ukraińcy zaś względnie szybko zorientowali się, że coś tu nie jest w porządku. Ani ci bandyci nie są takimi zbrodniarzami, ani ci opiekunowie takimi dobroczyńcami. Jednocześnie wielu z nich otrząsnęło się z makabrycznych przeżyć własnych z obozu jeńców, rozejrzało się w sytuacji politycznej i doszło do wniosku, że zwycięstwo Niemiec wcale nie jest takie pewne, więc może jednak bezpieczniej jest zachować się z pewną rezerwą. Skutek był taki, że zapał do mordowania więźniów ostygł bardzo znacznie, a nawet z czasem zaczęły się pojawiać ze strony Ukraińców coraz liczniejsze dowody życzliwości i sympatii. Codzienne życie na Pawiaku uspokoiło się nieco.

Natomiast zaczęła wyraźnie przebiegać na sile akcja wyniszczania Polaków.

Transporty do obozów stały się znacznie częstsze i liczniejsze, rozpoczęły się stałe egzekucje na miejscu. Do czasu spalenia getta rozstrzeliwania w Warszawie lub najbliższej okolicy (Palmiry) były rzadkością. Zasadniczo wszystkie wyroki były wykonywane w obozach. Od czasu całkowitego wypalenia getta, Niemcy zdobyli dostatecznie wygodny i rozległy teren wokół Pawiaka, a wobec narastających trudności transportowych i konwojowych znacznie prościej było wykonywać egzekucję na miejscu. A jeśli nie wywozić, to niby poco się trudzić i wyprowadzać tych ludzi o kilka ulic dalej. W ten sposób miejsce ostatecznych kaźni zbiorowych przybliżało się z biegiem czasu. Ostatnio potrafiono dokonywać rozstrzeliwań dosłownie w najbliższej bramie na ulicy Dzielnej, na wprost głównego wyjścia z Pawiaka.

Jednocześnie wzrasta furia Niemców na Szucha. W czasie przesłuchiwań Niemcy bili zawsze, ale w tym czasie liczba i ciężkość skatowania więźniów wracających z przesłuchań dochodzi do zenitu. Szpital jest zawałony ludźmi w różnym wieku, od kilkunastoletnich chłopców i dziewcząt, do całkiem starych, którym dosłownie powypadały całe kawały skóry i tkanki podskórnej na pośladkach. Wybite zęby i porozcinane głowy nie robią już na nikim

wrażenia. Możliwość przyjęcia do szpitala zaczyna się od chwili, kiedy delikwent nie tylko nie jest w stanie wstać, lecz nawet przewrócić się na bok o własnych siłach.

Wielu tych nieszczęśników leży na barłogach w przepelnionych celach, cierpiąc straszliwie i swymi cuchnącymi ranami zatruwając życie i powietrze współtowarzyszom. Coraz częstsze są wypadki śmierci w szpitalu z powodu pobicia, coraz częstsze zgony w czasie przesłuchania. Mnożą się wypadki, kiedy skatowanych do ostateczności więźniów zabraniają Niemcy wziąć do szpitala, skazując na konanie w samotności i bez żadnej pomocy na betonowej podłodze w ciemnicy (karcu).

Jednocześnie do szczytu dochodzi furia i perfidia referentów w czasie przesłuchań. Zacytuję znów tylko kilka przykładów. Pewnego wieczora przynoszą na noszach wprost z samochodu, który przywiózł więźniów z Szucha po przesłuchaniu, młodego, silnie zbudowanego dwudziestoparoletniego chłopca. Leżał nagi, przykryty tylko częściowo jakąś szmatą. Błędne oczy, kurczowo zaciśnięte szczęki, piana na ustach. Na pierwszy rzut oka wyraźna różnica w obrazie, który przyzwyczailiśmy się oglądać u „normalnie” skatowanych. Po odrzuceniu szmaty ukazało się ciało całe pokryte okrągłymi cętkami. Szyja, piersi, ramiona, brzuch, uda, a nawet członek i moszna usiane były w odstępach kilkucentymetrowych ciemnymi plamami, mniej więcej okrągłymi o średnicy około centymetra. W pierwszej chwili nie mogłem w ogóle zrozumieć, co to być może. Podobnej jednostki chorobowej nigdy nie widziałem. Po bliższym obejrzeniu zorientowałem się, że są to oparzenia. Od chorego niczego dowiedzieć się nie mogłem, gdyż na wszystkie próby porozumienia się z nim reagował tylko głuchym jękiem. Dopiero następnego dnia opowiedział, że w czasie przesłuchania, wobec twierdzenia, że nic więcej nie wie, kazano mu rozebrać się do naga, ułożono na stole i – podczas gdy czterech drabów trzymało go za ręce i nogi – dwóch innych zaczęło przypiekać go zapalonymi papierosami! Proszę sobie wyobrazić, ile razy trzeba było zapalić papierosa, ażeby upstrzyć w podobny sposób całe ciało dorosłego człowieka i ile czasu to trwało!

Innym razem wzięto ze szpitala na przesłuchanie młodego chłopca, ciężko rannego poprzedniego dnia w jakiejś akcji. Oprawcy zorientowali się natychmiast, że nie mogą przystąpić do żadnych rękoczynów, gdyż ofiara umrze natychmiast i nie dowiedzą się niczego. Wobec tego pojechali do mieszkania nieszczęśnika i aresztowali jego matkę.



Tą pięćdziesięcioletnią kobietę zaczęto bić i katować na oczach umierającego chłopca, by zmusić go do zeznań!

W innym wypadku młodą, 16-letnią dziewczynę usiłowano złamać i sterroryzować w ten sposób, że na przesłuchaniu kazano jej wobec kilku referentów rozebrać się do naga i, stojąc tak przed nimi, zeznawać.

Kiedy indziej znów przywieziono starszego człowieka ze zmiażdżonymi palcami u obu rąk. Ściskano mu palce między drzwiami a framugą.

Pragnę jeszcze wspomnieć specjalnie o kilku wachmeistrach, okrutnikach i sadystach. Początkowo zwykli SS-mani, w ciągu mego pobytu na Pawiaku awansowali do scharführerów, to jest o trzy stopnie. Byli to: Wippenbech, Muller, Oberscharführer Bürkli Zander. Każdy z nich na swój sposób stanowił specjalny okaz degenerata. Ludzie ci męczyli i torturowali więźniów nie tylko z obowiązku, ale dla zaspokojenia swoich wypaczonych instynktów. Po prostu wchodził taki Wachmeister do pierwszej z brzegu celi i wybierał sobie ofiarę. Wyprowadzał zwykle na inny oddział, najczęściej na „ósemkę”, która będąc w piwnicy, najbardziej była izolowana. Tam wybierał jakąś pustą celę i rozpoczynała się zabawa.

Trudno opisywać wszystko, co ci zboczeńcy ze swymi ofiarami potrafili robić, tym bardziej, że nikt z innych więźniów nie asystował przy tych zabawach bezpośrednio. W każdym razie kończyło to się powieszeniem lub zastrzeleniem ofiary. Zdarzyło się parokrotnie, że referenci z Szucha, którym w ten sposób ubył w trakcie sprawy jakiś potrzebny jeszcze do dalszych zeznań więzień, protestowali u komendanta więzienia. Lecz oprawcy śmiali się z tego. Wystarczyło, że złożyli meldunek, iż więzień rzucił się na nich, chcąc ich rozbroić, lub że próbował ucieczki, wobec czego zmuszeni byli użyć broni, i sprawa była załatwiona.

Na zakończenie chciałbym jeszcze choć pokrótce scharakteryzować postępowanie Niemców wobec więźniów chorych, czyli na ustosunkowanie się ich wobec „szpitala”.

Zasadniczym założeniem gestapo nie była żadna troska o zdrowie więźnia. Nic ich to przecież nie obchodziło, a raczej zgodnie z zasadą wyniszczenia Polaków, było na rękę wszystko, co to zdrowie podkopywało. A mimo to istniał, a nawet został rozszerzony i wyposażony w nowe instrumentarium szpital męski i żeński. Składało się na to kilka przyczyn. Primo, Niemcy panicznie bali się epidemii chorób zakaźnych, głównie tyfusu





plamistego; secundo, w okresie śledztwa w wielu wypadkach zależało im na życiu więźnia do czasu wydobywania dalszych zeznań; tertio, grały też niemałą rolę ambicje naczelników lekarzy niemieckich posiadania w swoim rejonie najlepszego szpitala i najmniejszej liczby epidemii.

Ale w momencie, gdy dla celów dalszych przesłuchań więźniów stawał się niepotrzebny, kończyło się wszelkie zainteresowanie i jakiegokolwiek względy dla cierpienia człowieka chorego przestawały odgrywać rolę. Tym tłumaczą się fakty, że potrafią wynieść na noszach na zastrzelenie człowieka, który poprzedniego dnia został poddany nagłej operacji przepukliny, że brano na śmierć kobiety nawet w dziewiątym miesiącu ciąży, że kazano zdejmować z wyciągów ludzi, ułożonych z powodu złamania uda czy podudzia.

Nie było choroby czy cierpienia, które mogłoby choć na jotę zmienić ich postępowanie. Przeciwnie, wielokrotnie notowaliśmy przypadki, gdzie fakt utraty zmysłów lub stwierdzenie choroby zakaźnej (syfilis, jaglica, itp.) przyspieszały czy nawet powodowały zastrzelenie lub powieszenie nieszczęśliwego. Ze strony poszczególnych wachmeistrów spotykaliśmy się nieraz z objawami współczucia czy chęci ulżenia więźniom chorym. Lecz ze strony kierownictwa gestapo nigdzie tak wyraźnie jak na przykładzie szpitala na Pawiaku nie było widać, że Niemcom obce są wszelkie, najprymitywniejsze uczucia ludzkie.

Protokół przeczytałem.